



Będzie bitwa.
Musisz chronić
swoje serce!

Królowa i Uzdrowiciel

BESTSELLER NEW YORK TIMES A

AMY HARMON

Tytuł oryginału: The Queen and the Cure
(The Bird and the Sword Chronicles #2)

Tłumaczenie: Marcin Machnik
ISBN: 978-83-283-4233-0

Copyright © 2017 by Amy Harmon

All rights reserved. Without limiting the rights under copyright reserved above, no part of this publication may be reproduced, stored in or introduced into a retrieval system, or transmitted, in any form, or by any means (electronic, mechanical, photocopying, recording, or otherwise) without the prior written permission of both the copyright owner and the above publisher of this book.

Polish edition copyright © 2018 by Helion S.A.
All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą Shutterstock Images LLC.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

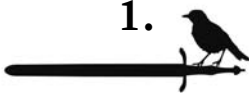
Wydawnictwo HELION
ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE
tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

1.



— Wszystko ma jakąś historię. Każde miejsce. Każdy człowiek. Wyszliśmy z łona kobiety, która wyszła z łona kobiety, która także wyszła z łona kobiety. Dziedziczymy talenty i słabości, rodzimy się w chwale i konflikcie, jesteśmy otaczani życzliwością lub obojętnością i uczymy się przebywać wśród osób, które mają własne korzenie, własne kłopoty i własną historię.

Sasha mówiła niskim i śpiewnym głosem, przemywając rozpaloną głowę swojej starej właścicielki. Opowiadała kojące i uspokajające historie, aby odciągnąć jej uwagę od bólu i strachu. Wokół maleńkiej kamiennej chaty krążyła śmierć. Skrobała w drzwi i niecierpliwie zaglądała w okna, czekając na swoją chwilę.

— Jaka jest twoja historia, Sasho? — Staruszka przerwała jej pytaniem, które zadawała już ze sto razy.

— Nie znam swojej historii, pani Mino — odparła łagodnie Sasha.

— Musisz stąd iść, żeby ją poznać — naciskała słabym głosem staruszka.

— Dokąd mam iść? — spytała Sasha cierpliwie. Ta rozmowa była niemal ich rytuałem.

— Twój dar cię poprowadzi.

— Dlaczego uparcie nazywasz to darem?

Mina westchnęła ciężko.

— Wiesz dlaczego. Znasz legendę. Opowiedz mi ją jeszcze raz.

Sasha nie westchnęła, chociaż opowiadała ją już tyle razy, że znała na pamięć wszystkie słowa, przez co wydawały jej się nużące i pozbawione wszelkiej magii i prawdy. Ale staruszka upierała się, że ta historia dotyczy każdego człowieka, także Sashy.

— Bóg stworzył świat słowami — zaczęła. Staruszka rozluźniła się, a jej powieki zaczęły drżeć, jakby oglądała tę opowieść pod nimi. Sasha mówiła cichym i kojącym głosem, który jej także przynosił ukojenie. — Słowami powołał do życia światło i ciemność, wodę i powietrze, drzewa i rośliny, ptaki i zwierzęta, a z prochu i pyłu tych światów stworzył dzieci, dwóch synów i dwie córki. Uformował ich na swoje podobieństwo i tchnął życie w ich gliniane ciała — wyrecytowała posłusznie.

— No właśnie — wyszeptała Mina i kiwnęła głową. — Tak dobrze to opowiadasz. Mów dalej.

— Na początku dał każdemu dziecku jedno słowo, potężne słowo, które miało określone działanie i było cennym darem w ich podróży przez świat. Jeden z synów otrzymał słowo *zmieniać*, które dało mu zdolność do przekształcania się w zwierzęta leśne i stworzenia powietrzne. Jedna z córek otrzymała słowo *prząść*, które pozwalało uprząść złoto z wszelkiej materii. Z trawy, liści, kosmyka włosów. Drugi syn dostał słowo *uzdrowiać*, dzięki któremu potrafił leczyć choroby i rany swojego rodzeństwa. Druga córka otrzymała słowo *powiadać* i umiała powiedzieć, co się wydarzy w przyszłości. Niektórzy twierdzą, że swoimi słowami potrafiła nawet kształtować przyszłość.

— Prządka, Zmieniacz, Uzdrowiciel i Powiadaczka żyli długo i każdy z nich miał liczne potomstwo, ale mimo ich błogosławionych słów i niezwykłych umiejętności życie i tak było niebezpieczne i trudne. Często trawa okazywała się bardziej użyteczna od złota. Człowiek był bardziej potrzebny niż zwierzę, zdanie się na przypadek atrakcyjniejsze niż znajomość przyszłości, a wieczne życie nie miało sensu bez miłości.

— Nie miało sensu — powtórzyła staruszka i zaczęła lkać, jakby ta zamierzchna legenda opisywała jej własne życie. Ale nie prosiła już dziewczyny o dalszy ciąg, tylko sama podjęła opowieść i dokończyła ją powoli słabym głosem, przytaczając najważniejsze dla niej elementy.

Gdy zamilkła, a łzy wyschły na jej policzkach, Sasha wstała i poszła wylać letnią wodę z miski na zewnątrz. Zaciągnęła za sobą grubą zasłonę, ale jej nie zawiązała, żeby móc szybko wrócić, gdyby staruszka zawołała.

Ale w głowie nadal miała historię o Zmieniaczku, Prządce, Uzdrowicielu, Powiadaczce i ich potomstwie. Setki lat. Pokolenie za pokoleniem. Dary najpierw czczono i uwielbiano, potem ich nadużywa-

no i je lekceważono, aż wreszcie zaczęto się ich wypierać i je ukrywać, a ostatni Obdarzeni spotykali się z narzekaniami i nienawiścią. Stopniowo eliminowano wszystkich Powiadaczy, Uzdrawicieli, Zmieniaczy i Prządki. Z rozkazu króla obcinano Prządkom dłonie. Powiadaczy palono na stosie. Zmieniaczy ścigano jak zwierzęta, które przypominali, a potem kamienowano na wioskowych placach. Ci, którzy mieli jakikolwiek dar i przeżyli, bali się swoich możliwości i ukrywali swoje talenty przed otoczeniem.

Wioska była cicha i w spłowiałym świetle zdawała się opuszczona. Słońce przestało już przypiekać ciężko doświadczonych mieszkańców. Nagle ciszę przerwał szloch i Sasha skupiła uwagę, by usłyszeć wykrzykiwane imię. Gdy do niej dotarło, poczuła drżenie ust i piekący ból w oczach. Zmarło kolejne dziecko. Edwin. Chłopczyk z wykrzywioną nogą.

Najślabsi odchodzili pierwsi.

Sasha oddaliła się od rzędów chat i dostojniejszych domostw starszyny. Zmęczone nogi prowadziły ją do strumienia, który przepływał przez kaniony. Był dalej niż płynąca od wschodu rzeka, ale Sasha wolała nadłożyć drogi, żeby nie zatruć się, tak jak Mina, wodą ze wschodu. Gdy stan staruszki zaczął się pogarszać, Sasha poszła do brata Miny, najzyczliwszego członka starszyny, i poprosiła, by ostrzegł ludzi przed tą wodą, bo niosła ona w sobie coś mrocznego. Brat Miny naradził się z pozostałymi członkami starszyny, ale nikt z nich nie był chory, a od dawna pili wodę z rzeki ze wschodu. Stwierdzili, że Sasha oszalała i że niepotrzebnie przestraszyłaby ludzi. Kazali jej trzymać język za zębami, w przeciwnym razie jej go obetną.

Nie tak dawno temu na ziemiach Jeru odbyła się ogromna bitwa. Naprawiono zło i zniesiono prześladowania. Ale w wioskach prowincji Quondoona niewiele się zmieniło. Do Solemn przybywali kupcy z Jeru, którzy przywozili ze sobą towary i historie. Mina razem ze starszyną wysłuchiwała opowieści o potężnym królu Tirasie, który potrafił latać jak ptak i który zniósł stare prawa. I teraz, jak uważała starszyna, Obdarzeni mogli swobodnie się włóczyć i robić najgorsze rzeczy, chociaż w Solemn nie było nikogo, kto miałby dar przędzenia lub uzdrawiania. W Doha, sąsiedniej wiosce, było dwóch Zmieniaczy, starszy pan i dziecko, lecz obaj potrafili dokonywać tylko

częściowej zmiany. Rozwijali skrzydła lub wysuwali szpony, ale nie byli zdolni do całkowitej transformacji. Sasha nigdy ich nie widziała, ale starszyczna wyrażała się o nich z lekceważeniem. Śmiano się z ich dziwności i twierdzono, że to raczej przekleństwo niż dar. Kupcy przywieźli też z położonej na północ od Quondoona prowincji Bin Dar nowinki o wielkich człekoptakach, które budowały gniazda i żywiły się ludzkim mięsem, ale nikt z Solemn takiego stworzenia nie widział. Sasha nie była ani Zmieniaczką, ani Prządką, ani Uzdrowicielką, ani Powiadaczką. Była kimś zupełnie innym. Nie była przedmiotem rozmów, ale to wcale nie oznaczało, że była bezpieczna, i wolała nie pokładać nadziei w mieszkającym tak daleko królu i w prawach, które miały chronić każdego. Nawet niewolnice.



Miał twarz, której na pewno by nie zapomniała, ale nie mogła sobie przypomnieć, by go znała. Nie powinna widzieć go tak wyraźnie. Była noc, a on unosił się nad nią w cieniu rzucanym przez połowę tarczy księżycy. Jego oczy były jak morze, niebieskie, lecz niezmacone, a jego usta były dla niej kotwicą — składały obietnice, które powstrzymywały ją przed odpłynięciem. Dotykał jej delikatnie, lecz jego słowa były ostre, i gdy poprosił, by podążyła za nim, posłuchała go, wyszła z ciała i stała się kimś nowym.

Ale oni i tak ją znaleźli.

Postacie wyłaniały się z mgły i ginęły w niej, przesuwały się i szukały. Ludzie krzyczeli, a cienie przemykały w powietrzu, nurkując i szybując. Ukryła się, kładąc się płasko z twarzą w ziemi. Spróbowała wziąć wdech, ale zakrztusiła się i zakaszła z powodu wciągniętego w płuca pyłu. Zakryła twarz chustą, żeby filtrować nią powietrze, i zaczęła się czołgać. Bez żadnego odgłosu. Próbowała krzyknąć i poczuła kształt jego imienia na swoich ustach. Słowo, którego nigdy nie słyszała i którego nie znała.

Łup, łup, łup.

Odgłos odbijał się echem w jej głowie i klatce piersiowej, a świat ukrytych postaci i latającej śmierci zaczął się oddalać synchronicznie z narastającym łomotem.

Zasnęła zbyt blisko ognia.

Znowu.

Będzie miała twarz umazaną sadzą, a popiół z pewnością dostał się do płuc. Chata była zbyt ciepła na rozpalanie ognia, ale Miny nie dało się inaczej rozgrzać, a węgle gasły wolniej niż ona. Sashy kołatało serce i czuła suchość w ustach. Łomotanie stało się intensywniejsze i mocniejsze. Opuściło jej głowę i wypełniło przestrzeń tysiącem łopoczących skrzydeł.

— Sasho! Wpuść mnie. Rozwiąż poły.

Sasha przetarła oczy i podniosła się niepewnie, wciąż odurzona powracającym snem. Była zmęczona i miała rozpalone policzki. Zbyt wiele dni spędziła przy łóżku swojej pani. Opiekowała się nią do momentu, gdy staruszka odpłynęła niczym sen. Opłakiwała ją samotnie, bo odpowiedzią na jej nocne wezwanie były jedynie jęki i narzekania. Kilka godzin temu przyszedł brat Miny wraz z członkami starszyzny, zabrali ciało jej pani i wyszli.

— Sasho! Wpuść mnie!

— Maeve! Obudzisz całą wioskę — ostrzegła, ruszając na chwiejnych nogach w stronę drzwi, żeby drżącymi dłońmi rozsupłać pęta. Gdy tylko to zrobiła, przez wejście prosto w jej ramiona wpadła dziewczyna, mała i ciemna, jak wiele osób w Quondoona.

— Sasho, uciekaj. Natychmiast! Idą po ciebie — wydyszała Maeve. — Mina cię już nie ochroni. Oni nadchodzą. Słyszałam ich. Są przestraszeni i obwiniają cię.

— O co? — wykrzyknęła Sasha. Ale wiedziała. Maeve też wiedziała i nie marnowała czasu na niepotrzebne słowa, lecz chwyciła ją za rękę i pociągnęła. — Dokąd mam pójść?

— Jesteś wolna. Idź gdzie chcesz.

— Ale to jest mój dom.

— Już nie. Mina nie żyje. Ciebie czeka ten sam los, jeśli w tej chwili stąd nie wyjdiesz!

— Nie jestem odpowiednio ubrana. — Sięgnęła gorączkowo po chustę, żeby ukryć swoją jasną skórę i włosy. Buty stały przed drzwiami.

— Nie masz czasu!

Wtedy to usłyszała. Wtedy to poczuła. I rozpoznała. Widziała tę chwilę. Zalał ją żal i... ulga. Spełniło się. Urzeczywistnianie się wizji zawsze przynosiło ulgę. Nie potrafiła tego wyjaśnić.

Z oddali dobiegały krzyki i wrzaski, jakby wioska została zaatakowana. Ale to nie żadni rabusie próbowali dostać się do środka. W powietrzu nie było żadnych smoków, które naruszyły granice Solemn. Wróg znajdował się w środku.



Błyszczący księżyc, który spokojnie unosił się nad nimi, sprawiał, że nocna jazda po równinie była chłodzącą przyjemnością. Bezchmurne niebo znaczyły rozsypane okruchy gwiazd. Urwiska wznosiły się jak opuszczone okręty, a ich poszarpane skalne maszty wzbijały się w gwieździste niebo. Droga zaczęła opadać, a konie kierowały się prosto do leżącego na obrzeżach Quondoona Solemn. Kjell z Jeru, kapitan gwardii królewskiej, był tu tylko raz w życiu, ale zapamiętał proste stroje mieszkańców pustyni, ich zakryte głowy i cichy sposób bycia.

Przez ostatnie kilka dni nie widzieli żadnych śladów Volgarów, monsturalnych ptakoludzi. Ani gniazd, ani padliny, smrodu, czy chociażby zgubionych piór. Kjell po raz kolejny zaczął kwestionować w myślach historyczne pogłoski ze wsi na granicy Bin Dar o zniszczeniach w Solemn. Ale coś musiało wisieć w powietrzu, bo jego koń Lucian zrobił się niespokojny. Prychał i narowił się, jakby nie chciał jechać w dół.

Kjellowi byłoby znacznie łatwiej, gdyby posiadał moc nakazywania i niszczenia jak królowa Lark. Ale nie posiadał, dlatego przemierzał prowincje Jeru z elitarną grupą wojowników, polując na Volgary w tradycyjny sposób, za pomocą miecza. Na północ do Firi, na zachód do Bin Dar, na wschód do Bilwick i z powrotem do Jeru. Ostatnie dwa lata spędził w siodle, ścigając niedobitki skrzydlatych potworów, które niegdyś siały zniszczenie w prowincjach i niemal zrujnowały całe królestwo.

Gdy dowiedział się o gniazdach ptakoludzi na klifach Quondoona, opuścił stolicę po raz kolejny, z poczuciem niezrozumiałej wdzięczności, że ma coś do zrobienia. Tiras, jego przyrodni brat i król Jeru, sprawował sprawiedliwe rządy, uwolniony w końcu od dolegliwości, z powodu której przez tak długi czas Kjell musiał trzymać się blisko.

Od dnia, gdy młody i Obdarzony Tiras objął tron po ojcu, byli praktycznie nierozłączni, bo poza nieślubnym bratem król nie miał się do kogo zwrócić. Ale teraz już nie potrzebował Kjella. Nie w taki sposób jak kiedyś.

Kjell nie pożałował bogactw. Nie zależało mu na władzy czy pozycji. Nigdy nie pragnął zdobyć majątku czy chociażby miejsca, które mógłby nazwać własnym. Był starszy, ale nie chciał zostać królem i nigdy nie zazdrościł Tirasowi — ślubnemu synowi i dziedzicowi tronu. Tiras dźwigał ciężar odpowiedzialności ze spokojną akceptacją, której Kjell nigdy się nie nauczył. On najlepiej się czuł, gdy obserwował brata z tylnego rzędu lub gdy zatracił się w gorączce bitewnej. Wtedy zawsze wiedział, kim jest.

Nie był z tego szczególnie dumny, ale wiedział.

Był nieślubnym synem zmarłego króla Zolteva i służki Koorah, która przez pewien czas rozgrzewała królewskie łoże. Przez bardzo krótki czas. Zmarła w trakcie porodu, a imię wybrała mu położna, która uznała, że jego niemowlęcy płacz przypomina krzyk sowy kjellowej przed atakiem.

Ale człowieka nie da się sprowadzić do jego pochodzenia. Człowiek to coś więcej niż jego miecz, postura czy umiejętności. Tymczasem w ostatnim roku wszystko, co Kjell wcześniej wiedział, wywróciło się do góry nogami. Został zmuszony do zaakceptowania tej części siebie, którą dotychczas odrzucał. Był Obdarzony. Był jednym z *nich*. Był jednym z ludzi, których się obawiał i których odrzucał. Nie przyszło mu to z łatwością. Czuł się, jakby przez całe życie walczył z morzem, po czym zorientował się, że ma łuski i skrzela i że powinien zanurzyć się w głębie, zamiast zakładać gniazdo. Nie miał pojęcia, kim jest i jaki mógłby być jego cel. A może miał, tyle że mu się to nie podobało.

Noc robiła się coraz zimniejsza. Gdy wstanie słońce, znowu zrobi się gorąco — zbyt gorąco — ale Quondoony lubowało się w skrajnościach. Skwar w dzień i chłód w nocy, strzeliste skały i płaskie równiny, krótkie ulewy i długie okresy suszy, gdy przez całe miesiące nie chciała spaść ani kropla deszczu. Lud Quondoony składał się z pasterzy i śmieciarzy, tkaczy i garncarzy, ale niespecjalnie się rozrastał. Nie był w stanie. Kjell znowu zadumał się nad rzekomo widzianymi tu Volgarami. Volgary wołały błotniste tereny. Musiałyby być naprawdę zdesperowane, żeby osiedlić się w pobliżu wiosek w Quondoony.

Ze skarpy wysoko nad ich głowami rozległo się złowieszcze wycie i Lucian wzdrygnął się ze strachu.

— Stać! — nakazał Kjell, a ludzie natychmiast zamarli z dłońmi na mieczach i ze wzrokiem wbitym w ściany skał po prawej, szukając źródła tego odgłosu. Na przechodzącym w płaskowyż klifie po prawej zmaterializowały się jakieś kontury. Poniżej leżało Solemn, ale to nie były strażę, lecz wilki, którym nie podobało się, że ktoś zakłóca ich nocne poczynania. Znowu rozległo się wycie i konie zaczęły drzeć.

— Coś tam jest, kapitanie. Coś rannego. Lub martwego. Wilki chcą się do tego dobrać — odezwał się jeden z żołnierzy ze wzrokiem wlepionym w pogrążoną w mroku podstawę najwyższego urwiska.

— Jeśli to Volgar, jest sam. Wilki nie zbliżyłyby się do stada — dodał Jerick, porucznik Kjella.

— To nie Volgar — stwierdził Kjell, ale zsiadł z konia i dobył miecza. — Isak, Peter i Gibbous, zostańcie z końmi, a reszta za mną.

Mężczyźni natychmiast wypełnili polecenie i ruszyli przez zarośla i suchą trawę w stronę sterczącej z ziemi ściany. Ciemność spowijała coś, co leżało tam skulone wśród białych skał. Coś zafalowało, jakby czarny kłęb, jakby skrzydło Volgara, i Kjell stanął, zatrzymując też swoich ludzi.

Wilki nie czuły potrzeby zachowania ciszy. Jeden z nich się odezwał i wkrótce dołączyły do niego pozostałe. Wycie nie rozprędziło jednak ciemności i nie zatrzymało falowania, więc Kjell ruszył naprzód, wpatrując się w drgającą czerń.

Po kilku krokach księżyc ujawnił swój sekret. Falowały nie skrzydła Volgara, lecz suknia leżącej bez życia na ziemi kobiety. Mimo ciemności widać było, że ma szkarłatne włosy, chociaż zlewały się z jej krwią i ciepłym odcieniem ziemi. Leżała na plecach z zamkniętymi oczami, a jej owalna twarz była równie blada i nieruchoma jak otaczające ją skały. Miała szeroko rozpostarte ramiona, jakby podczas upadku próbowała objąć wiatr.

Poza dziwnie wygiętymi plecami i jedną skrzyżowaną nogą nie było widać żadnych obrażeń, żadnych śladów zębów lub kłów. Nie miała też poszarpanych ubrań. Nie była ofiarą Volgara. Spadła z urwiska. Jerick dotarł do niej pierwszy, ukląkł przy niej i dotknął białej skóry na gardle z zuchwałością, którą zwykle rezerwował dla Kjella.

— Jest ciepła, kapitanie, jej serce wciąż bije.

Kjell nie był jedynym, który westchnął. Wśród ciasno otaczających go żołnierzy rozległo się zbiorowe syknięcie jak w gnieździe węży. Ona była tak bardzo połamana.

— Co zamierzasz zrobić? — Jerick podniósł wzrok i spojrzał na przywódcę. Nie było wątpliwości, o co pyta, chociaż nie wyraził się wprost. Wiedział, że Kjell jest Uzdrawicielem. Wszyscy wiedzieli. Jego ludzie jednocześnie się go bali i go czcili, obserwując z pełnym zdumienia podziwem, jak przywracał sprawność powalonym i umierającym za pomocą gołych dłoni. Uzdrawiał jednak tylko tych, których darzył sympatią, którym służył i którzy służyli jemu. I nie robił tego zbyt często. Uzdrawił kilku swoich ludzi. Uzdrawił swojego brata. I królową. Ale nie potrafił wyrzesać z siebie mocy bez... miłości. Zasmiał się gorzko. Otaczający go wojownicy wzdrygnęli się niezręcznie i uświadomił sobie, że wyrwał mu się chichot.

— Idźcie — nakazał nieoczekiwanie. — Weźcie Luciana i resztę koni i znajdźcie jakieś miejsce w pobliżu, gdzie zaczekacie.

Nikt się nie ruszył. Wpatrywali się nadal w połamaną postać i kałużę krwi, która nęciła wystające znad krawędzi klifu wilki. Wilki, które tylko czekały, aż ludzie zostawią dziewczynę i odejdą.

— Sio! — warknął Kjell i opadł na kolana ze świadomością, że marnuje czas, którego nie ma. Jego ludzie zaczęli się wycofywać, ostrożnie jak wilki. Wypełniali rozkaz kapitana, lecz nie byli z tego zadowoleni. Jerick nie odszedł, ale Kjell się tego spodziewał. — Nie jestem w stanie tego zrobić, gdy patrzysz — wyjaśnił szorstko. — Zbyt mnie to onieśmiela.

— Widziałem już, jak leczysz, kapitanie.

— Owszem. Ale nie tak. Nie znam jej. — Kjell położył dłonie na klatce piersiowej kobiety i poczuł ciepło jej serca, które uparcie trzymało się życia, mimo że ciało pragnęło uwolnienia od tej udręki. Wsłuchał się w jej pieśń, żeby wychwycić tę jedną, czystą nutę, której potrzebował. Jej duszę, jej siłę życiową, jej *jaźń*.

— To wyobraź sobie, że ją znasz — poprosił Jerick łagodnie. — Wyobraź sobie, że... jest pełna życia. Biega. Uśmiecha się. Szuka pary.

Kjell rzucił Jerickowi ostre spojrzenie, lecz ten patrzył na niego bez zażenowania, jakby snucie takich wizji przychodziło mu z łatwością, więc dla Kjella powinno być równie łatwe.

— *Wyobraź sobie, że ją kochasz* — dodał Jerick.

Kjell prychnął, odrzucając tę ekliwość, i pochylił głowę. Zamknął oczy, czując na sobie wzrok Jericka. Skulił dłonie na piersi kobiety, prosząc serce, by ich posłuchało. Nagle w głowie pojawił mu się nieproszony obraz. Obraz uśmiechającej się kobiety o spojrzeniu pozbawionym sekretów i ustach brzydzących się kłamstwem. Kobiety o tak samo płomiennych włosach, jakie miała ta, która leżała przed nim, samotna i umierająca. Postanowił po raz ostatni odprawić Jericka. Ona umierała, a on musiał słuchać mamrotania głupiego rycerza, który najwyraźniej zbyt długo nie miał kobiety. *Biegała, uśmiechała się, szukała pary.* Co za baran.

— Zostaw mnie, Jericku. W tej chwili. — Kjell pomyślał, że go wychłosta, jeśli ten nie posłucha. Ale Jerick chyba zrozumiał, że kapitan stracił cierpliwość, bo odwrócił się i Kjell usłyszał oddalające się w zaroślach ciężkie kroki.

Przejechał dłońmi wzdłuż wąskich żeber kobiety. Wyczuł poszczerbione kawałki połamanych kości i nakazał im się poskładać. Podczas tych ruchów nie odmawiał modlitw. Owszem, Stwórca obdarzył go tym przekleństwem i błogosławieństwem, ale Kjell nie miał zamiaru błagać o większą moc.

Tyle że kobieta mu się opierała, a jej ciało uparcie ciążyło w stronę śmierci.

Zaczął nucić, czysto instynktownie, dopasowując tembr głosu do wyjących nad nim raz po raz wilków. Po chwili poczuł znaczące mrowienie w dłoniach, a jego serce przyspieszyło w poczuciu tryumfu. Nakazał swojemu ciału podzielić się światłem i wyczuł, że pokiereszowana klatka piersiowa naprawia się. Uniosła się nieco i wypełniła jego szerokie dłonie. Mimo to nadal nie potrafił wychwycić pieśni tej dziewczyny.

— Gdzie jesteś, kobieto? — spytał ją. — Czuję twoje serce i sączą się krew. Zaśpiewaj, żebym mógł cię ściągnąć z powrotem.

Przesunął dłonie na jej uda i poczuł, jak ciało odzyskuje kształt. Kości nóg się scalily i wróciły na swoje miejsce w miednicy. Gdy jej kręgosłup stał się na powrót długą, jednolitą linią, przewrócił ją na bok i przejechał dłońmi z tyłu czaszki. Była mokra od krwi i poddawała się dłoniom. Przełknął gulę, zaskoczony swoją wrażliwością.

Wielokroć rozpruwał ludzi i bestie, lecz nigdy się nie skrzywił i nie zawahał.

— Nie mam zbyt bujnej wyobraźni — szepnął, wygładzając jej włosy. — Nie potrafię udawać, że cię kocham. Ale mogę cię uzdrowić, jeśli mi pomożesz.

Wyteżył uwagę, nasłuchując tej jednej nuty, która ocalałaby dziewczynie życie. Był już kiedyś, lata temu, w podobnej sytuacji. Nasłuchiwał czegoś, czego nigdy wcześniej nie słyszał, nie mając pojęcia, czego właściwie szuka. Wyglądało to dokładnie tak samo. Wtedy leżał przed nim jego brat i miał równie ciężkie rany jak ta dziewczyna. Kjell go ocalił. Uzdrowił. Tyle że jego *kochał*.

Strach zadrgał w jego brzuchu i ciepło dłoni natychmiast zelżało. Zmusił się do skupienia z powrotem na bracie, na jego sympatii, szacunku i oddaniu. Ta myśl dała mu siłę i ciepłe dłonie rozgorzały światłem.

Nachylił się i szepnął jej w ucho, śpiewnie i wabiąco:

— Słyszysz mnie, kobieto? Zaśpiewaj ze mną. — Znał tylko spróśne i banalne piosenki o zadzieraniu sukienek i wymachiwaniu mieczem. — Chodź do mnie, a spróbuję cię uzdrowić. Spróbuję cię uzdrowić, lecz musisz wrócić — intonował łagodnym, jednotonowym głosem. Nie były to najlepsze słowa, ale przynajmniej trochę przypominały piosenkę, wypływając z jego ust w ochrypłym błaganiu. — Chodź do mnie, dam ci schronienie, dam ci schronienie, lecz musisz wrócić. — Jego usta musnęły jej ucho. Poczuł dziwne drżenie, które przeszło z jego warg i uniosło jej włosy. Serce dziewczyny zabiło mocniej, jakby go usłyszała. Intonował dalej, pozwalając nadziei uczynić z siebie kłamcę.

— Chodź do mnie, a spróbuję cię pokochać. Spróbuję cię pokochać, lecz musisz wrócić.

Wychwyił pojedynczy, samotny dźwięk, niemal niesłyszalny. Jakby wymaginowany. Gasnący. Coś jak pojedynczy brzęk dzwonka.

Ale to wystarczyło.

Zaczął nucić wyżej, żeby dopasować się do tego dźwięku, i podjął pieśń migoczących gwiazd. Wtedy żałobne dzwony zmieniły się w radosne dźwięczenie, wyraźne i jasne. Przybierało na sile, ale on wciąż nucił, aż w końcu ton zaczął rezonować na jego skórze, w czasz-

ce, za zamkniętymi powiekami i głęboko w brzuchu. W euforii i poczuciu tryumfu poddał się tej wibracji. Odgarnął splątane włosy z zakrwawionych policzków i spojrział w oczy tak głębokie, że zdawały się nieskończone. Skrzyżowali spojrzenia i przez chwilę była między nimi tylko ta wibracja.

— Widziałam cię — szepnęła, zmieniając dźwięczenie w słowa. Kjell odsunął się, puścił jej włosy, a pieśń w jego gardle została wyparta przez zszokowane milczenie. Zacisnął dłonie i poczuł na palcach jej krew. — Widziałam cię — powtórzyła. — Jesteś. W końcu się zjawiłeś.

* * *

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



- 1. ZAREJESTRUJ SIĘ**
- 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI**
- 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ**

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA

 **Helion SA**

Kjell z Jeru był starszym bratem króla. Jego bękartie pochodzenie zamknęło mu drogę na tron, jednak ani przez moment nie zazdrościł bratu władzy.

Nie pożądał tronu ani bogactw. Czuł się przede wszystkim żołnierzem i dowódcą. Pewnego dnia jego uporządkowany świat runął: okazało się, że posiada potężny Dar — jest Uzdrawicielem. Właściwie nie zna swojej mocy, nie umie przyjąć Daru ani go zaakceptować.

Kiedy po zwycięskiej wojnie przemierza ze swoją drużyną dalekie prowincje Jeru, polując na niedobitki wrogich Volgarów, natyka się na umierającą dziewczynę i wbrew sobie postanawia ją uzdrowić. Obiecuje jej wtedy, że spróbuje ją pokochać, choć niczego do niej nie czuje. Uratowana Sasha ma wizje przyszłości, ale nie pamięta swojej przeszłości. Decydują się razem wyruszyć w podróż. Kjell, gnębiony poczuciem winy, zmagający się z własną niechęcią i oczekiwaniami innych, musi pokonać starych wrogów i sprostać nowym wyzwaniom. Najtrudniejszym z nich może się okazać zaakceptowanie siebie takim, jakim naprawdę jest i jakim widzi go Sasha.

Będzie bitwa. Musisz chronić swoje serce!

Amy Harmon — zwykła mawiać o sobie, że przede wszystkim jest żoną i mamą.

Pochodzi z Levan w stanie Utah, opiekuje się swoją rodziną i oczywiście pisze.

Wychowywała się bez telewizji, wśród bezkresnych pól pszenicy, a jej ulubioną rozrywką były książki i pisanie własnych historii. Jej powieści spotkały się entuzjastycznym przyjęciem, zdobyły wiele nagród i wyróżnień (Wall Street Journal Bestseller, New York Times Bestseller, Whitney Award, Swirl Award i inne).

Patroni medialni:

 **editiopurple**



Księgarnia Internetowa:
<http://editio.pl>



Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900



0 601 339900

Sprawdź najnowsze promocje:

- 🔗 <http://editio.pl/promocje>
- 📖 Książki najchętniej czytane:
- 🔗 <http://editio.pl/bestsellery>
- 📰 Zamów informacje o nowościach:
- 🔗 <http://editio.pl/nowosci>

Helton SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

ebook dostępny wyłącznie na:

ebookpoint^{PL}



ISBN 978-83-283-4233-0



Cena 39,90 zł